Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 6. Listopada 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 45.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIREK

OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy)

Nakoniec, okna te zajaśniały oświetleniem rzęsistem, w dziedziniec wjeżdżały powozy i dorożki, wchodziło sporo pieszych pań i panów, ozwały się głuche, bo oddalone dźwięki fortepianu i skrzypiec. Pani Emma porwała się z kanapki, zarzuciła na plecy mantylkę, a na głowę szalik i wybiegła. W kwadrans potem, trzy postacie niewieście wyszły z mieszkania Łopotnickiej i przez dziedziniec pogrążony w zmroku, dążyły ku oświetlonemu i gwarem napełnionemu domowi. Żyrewiczowa i Rozalia postępowały za panią prezydentową, która szła przodem, pomimo reumatyzmu w nogach, stąpała śmiało i szeroko, a wyprostowana jak struna, z głową wyniośle podniesioną, kijem swym grubym i w kościany nagłówek zaopatrzonym, o bruk dziedzińca stukała. Emma, z cichym chichotem i ruchami rozbawionego dziecka szeptała wciąż do Rozalii, która co chwilę, szept ten przerywała zapytaniami do matki zwracanemi. — Czy mamie nie zimno? Czy kalosze z nóg nie spadają? Czy mama dobrze ścieżkę widzi?

Wyniosła staruszka nie odpowiadała nic; wązkie usta jej zacięły się gniewnie, a siwe brwi, nad złotą oprawą okularów, groźnie zmarszczyła. Oczom jej przedstawił się widok, którego się nie spodziewała. Zwabiona muzyką i gwarem, liczna gawiedź przybiegła ku budzącym ciekawość oknom. Byli tam dorożkarze, mający czekać na przywiezione przez siebie osoby, barczyści, brodaci i z fajeczkami w zębach, były też wyrostki żydowskie, szwargocące i giestykulujące z sobą zażarcie, kobiety jakieś, z głowami ukrytemi w wielkie chusty, kilka nawet osób takich, których ubranie, złożone z kapeluszy i paltotów, wyróżniało się pośród tłumu.

Łopotnicka stanęła jak wryta w ziemię i twarzą obróciła się ku swym towarzyszkom.

— A co? Czy nie mówiłam, że za tym motłochem, porządnym ludziom teraz ani nosa za okno wyścibić nie można! Gdzie obrócisz się, wszędzie tem pospólstwem świat zanieczyszczony. I po co to?... to... to... to... tu przyszło? po co to... to... to żyje na świecie? Po to chyba, żeby nam w drogę włazić!

— Możeby lepiej nie iść! — jęknęła Rozalia.

— O, idźmy! idźmy! — błagalnie składając ręce prosiła p. Emma. — Tam tak bawią się... i Staś już jest... widziałam, jak przyjechał...

— Stasieczek kochany! — szepnęła Rózia ale wnet dodała, moja mamciu, ja boję się, żeby mamcię nie wyszturchali...

— Nie doczekanie ich! ja ich wyszturcham! rozstąpią się tu oni zaraz przedemną! — z gniewem sięgającym pasji zawołała stara i zaczęła znowu iść naprzód, krok jej stał się silniejszy jeszcze, zamaszystszy niż przedtem, kija już nie spuszczała ku ziemi, ale trzymała go przed sobą na podobieństwo bagneta; — w oczach jej błyszczała niewysłowiona wzgarda. Zbliżywszy się do wielostopniowego muru pleców, dzielącego ją z oświetlonemi oknami, zawołała gromkim głosem. — Proszę o drogę!

Naturalnie, nikt ani myślał być posłusznym.

— Proszę tu nas przepuścić! proszę zaraz nas tu przepuścić! — donioślej jeszcze powtórzyła. Za całą odpowiedź, w tłumie odzywały się szepty. — Patrzajcie! patrzajcie! O! O! jak grają! Sieh! hörste! o schöne panienkes! Szeroko Julku oczy otwieraj! Oto suknia jak słońce!

— Poczekajcie! — mruknęła pani prezydentowa i łokciami wparłszy się pośród pierwsze szeregi, kij swój w dziwnie szybkie a zręczne wirowanie puściła. Krzycząc, łając, grożąc, przeklinając, zasłaniając głowy ramionami, ludzie rozskakiwali się w różne strony, a ona, obojętna na obudzane przez się wrażenie, tryumfalnie, wraz z dwiema idącemi za nią kobietami, przystąpiła do jednego z okien i z pomocą Rozalii na kamień jakiś wgramoliwszy się, głośno wyrzekła:

— Mówię zawsze, że w teraźniejszym świecie, jak przeciw zbójom, kij zawsze z sobą nosić trzeba... żeby nie kij, to... to... to... to... te żydy i mieszczany zgubiliby nas do reszty!

W godzinę potem, z tłumu stojącego pod oknami domu, w którym brzmiała muzyka, wyśliznęła się drobna, ciemna postać kobieca i przesunąwszy się przez dziedziniec, stanęła przed drzwiami mieszkania Żyrewiczowej. Tu, na wschodzie, siedziała Brygida, z łokciem opartym na kolanie i policzkiem w dłoni; przy niej leżał żółty pies, którego ona od chwili do chwili machinalnie gładziła.

— Cóż — ozwała się krótko i szorstko, — czy dość już patrzania?

Mała osóbka usiadła przy niej.

— Zła jestem, — odpowiedziała, — na twoją matkę, że wyciągnęła moją mamę na to patrzanie! Zmęczy się tylko, zaziębi się jeszcze, broń Boże, a przytem... to ubliżenie jakoś... nie wypada!

— A no! — rzekła Brygida z właściwym sobie głuchym, stłumionym śmiechem; — ale za to napatrzą się śliczności!

A ty, czemu wróciłaś tak prędko? nie ciekawaś?

Rozalia rzuciła ręką.

— Ej nie! czy to ja takie rzeczy widziałam? Czym się mało sama natańcowała kiedy jeszcze nieboszczyk papa był prezydentem sądu powiatowego... I potem, choć Łopotniki były sprzedane, rodzice kupili tę kamienicę, co to przy Sklepowej ulicy, na czekoladowy kolor pomalowana i przez kilka lat jeszcze doskonale bawiono się u nas... Mama chciała wtedy za mąż mię wydać...

— No, to i czemuż nie wydała?

— Ot, nie zdarzyło się nic stosownego. Miałam kilku starających się... ale nic stosownego! Mama nie pozwalała i... sama nie chciałam... Lepiej wcale nie wyjść za mąż, jak poniżyć się i wyjść niestosownie.

— Aha! — mruknęła Brygida.

— A ty wcale nie chodziłaś patrzeć na te tańce? Czy ty także dużo tańczyłaś, wtedy, kiedy rodzice twoi dobrze się jeszcze mieli?

— Bardzo mało, — odpowiedziała.

— A dla czegoż to?

— Dla tego, że matka moja bardzo dużo tańczyła.

Rozalia zachichotała.

— Ależ pani radczyni miała już lat ze 40, kiedy pan radca umarł?

— To nic; wyglądała na dwadzieścia pięć...

— No, no! ależ zawsze... ty jesteś i teraz bardzo przystojna, a ośm lat temu.

— Do końca 18-go roku nosiłam krótkie sukienki i haftowane majteczki, a czy byłam przystojną, albo nie, nikt nie wiedział. Wszyscy widzieli, że mama przystojna...

— No, no! — dziwiła się wciąż Rozalia;—moja mama to znowu zupełnie inna, zupełnie inna... Jak zapamiętać mogę, zawsze już w czepeczku chodziła i okazywała siebie starszą nawet niżeli była, a tylko o mnie troszczyła się: żebym miała ładne ubranie, żebym dobrze wyglądała, żebym wesoło bawiła się i stosownie za mąż wyszła...

— Toś ty bardzo szczęśliwa! — wtrąciła Brygida.

— Dla czego, Bryniu?

Nie odpowiedziała, ale Rozalia sama po chwili dodała:

— Toż całe dobro moje na świecie!

Brygida dosłyszała w głosie jej oddźwięk smutku i z większem niż dotąd zajęciem zwróciła się do towarzyszki.

— Rodzeństwo miałaś?

— Nie; jedynaczką byłam zawsze.

— To i w tem szczęśliwą jesteś.

— A czemuż?

— Bo sto razy lepiej jest nie mieć, niż tracić!

— Aha! — zawołała Rozalia, — wiem, wiem. Pani radczyni wspominała kiedyś, że miała dwóch synków...

— A miała.

— Poumierali?

— Pomarnowali się.

— Jakto pomarnowali się?

Po raz to pierwszy dwie sąsiadki tak długo i poufnie rozmawiały ze sobą. Opryskliwa i ponura Brygida skłonniejszą była do kłótni, aniżeli do pogadanek i zwierzeń. Czy w łagodniejsze i bardziej miękkie usposobienie wprawiał ją Wilczek, który od czasu do czasu budząc się, podnosił wielki łeb swój i lizał jej rękę? Z policzkiem opartym na dłoni, i kołysząc się z lekka, opowiadała: Raz, było u mamy dużo gości, z miasta poprzychodzili, ze wsi poprzyjeżdżali... Konradka, który dwa lata wtedy miał, Niemka do kuchni wniosła i na stole posadziła. W kuchni zamęt, zwyczajnie jak w niebardzo bogatym domu, kiedy wystąpić chcą... ktoś trącił i stół przewrócił się... dziecko do beczki z wodą wpadło...

— Utopiło się! — wykrzyknęła Rozalia.

— Nie, ale dostało gorączki i umarło.

— A drugi?

— Drugi — spalił się.

— Jezus Marja!

— Sukienkę sobie w garderobie przy ogniu zapalił, okropnie męczył się przez dwa tygodnie i umarł. Miał już cztery lata... chłopunio mój najmilszy... pochowali razem z braciszkiem, szkoda, że i nie ze mną także...

Oczy jej błyszczały w cieniu, jak dwa ciemne płomienie. W przytłumionym głosie brzmiała gorycz ostra i zawzięta.

— Ja! oho! — kończyła — mnie ani ogień, ani woda, ani łzy nie wzięły... i głowy sobie po śmierci ojca nie rozbiłam, choć ją o ściany tłukłam... Taka to już gruba natura moja...

— Dla czegoż ty mówisz, że masz grubą naturę? — zaczęła trochę z nieśmiałością Rozalia.

Uczyniła ręką gest niechętny.

— Bo i gruba! — rzekła — ojcowska... Od dzieciństwa lubiłam zawsze cokolwiek robić... byle co... byle nie siedzieć z założonemi rękami, do muzyki zdolności nie miałam, popędliwa byłam, śmiałam się tak jak ojciec głośno i z całego serca...

— Ty śmiałaś się! ty Bryniu! — z najwyższem zdumieniem wykrzyknęła Rozalia.

— Dopóki ojciec żył — odpowiedziała krótko i posępnie.

— Aha! — westchnęła towarzyszka jej;—co to jednakże takiego, że jak tylko ci ojcowie poumierają, to i matkom i córkom robi się tak ciężko na świecie... tak ciężko... tak źle...

Brygida ze zdziwieniem twarz ku niej zwróciła.

— No, no! — rzekła — alboż tobie źle? Przepadasz za matką twoją, zamiłowałaś robótki, jak mówi pani prezydentowa i taka zawsze jesteś wesoła...

Rozalia zrazu nie odpowiedziała nic, potem, przysunęła się bliżej do towarzyszki, wzięła rękę jej, która bez oporu ale sztywnie spoczęła w drobnej jej dłoni i zaledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Bryniu! wiesz co? wychodź ty za mąż, za tego... wiesz... co kocha się w tobie!

Brygida wyrwała rękę, i z gniewem zawołała:

— A toż co? zkądże to ty naprzykład wiesz, że ktokolwiek kocha się we mnie?

— Zkąd... ot zkąd... siedzę zawsze przy oknie i robótkę robię... czasem zerknę na dziedziniec, to i widzę... Przez całą wiosnę widzę jak ten... no wiesz kto... patrzy na ciebie i pomaga ci wodę nosić ze studni, a kiedy do ciebie mówi, to zdaje się, że cały drży...

Brygidę przebiegło także lekkie drżenie.

— Widziałaś? doprawdy? a może ci się tylko tak zdawało? — szorstko lecz cicho wymówiła.

— Jak mamę kocham, nie zdawało mi się! — zawołała Rozalia. — Wiesz co? że choć ja na takich ludzi nigdy nie patrzę...

— *Na takich!* — sarknęła Brygida.— Jacy wy wszyscy jesteście głupi z tymi *takimi i owakimi* ludźmi! Biedne jak myszy w pustej stodole, a ludzi zawsze na *takich i owakich* dzielicie! Głupstwo na głupstwie jedzie i głupstwo powozi! Z wami wszystkiemi, wiele was jest, nie warto nawet rozmawiać... dla tego też i milczę zawsze, jak zaklęta, a jeżeli czasem usta otworzę, to zaraz żałuję tego... tak jak i teraz...

Chciała wstawać i odchodzić, ale Rozalia przytrzymała ją za suknię i ramię.

— Ot, już i wpadłaś w gniew i kłótni szukasz, ale ja nie chcę kłócić się z tobą... Poczekaj... pogawędzim jeszcze trochę... od serca... Ja ci dobrze życzę... mnie ciebie szkoda, bo choć jestem zawsze taka wesoła, ale mi często nie wesoło... Nie chcę mamy martwić i nie okazuję tego, co czuję...

— A cóż ty naprzykład czujesz? — rozbrojona słowami jej zapytała Brygida.

— Albo ja wiem! — wahającym się głosem odpowiedziała Rozalia.

Brygida zaśmiała się ironicznie.

— Otóż to; — rzekła — wy wszystkie nie wiecie, co czujecie... Czujecie coś... czujecie... wzdychacie... smutno wam... a same nie wiecie co i dla czego. Od najmniejszego dzieciństwa pamiętam te jakieś tęsknoty za czemś... za czemś... te jakieś żale po czemś... po czemś... Za czem? po czem? pfu! zgiń maro, przepadnij! Trzebaż przynajmniej wiedzieć... Albo te skrzydła złamane i bratnie dusze, te śpiewanie i wzdychanie przy fortepianie, uf! jak mi to wszystko obrzydło... Ale ty, to co innego... ty pewnie masz racją smucić się, a głupio to tylko bardzo, że nie wiesz sama, czego się smucisz...

Umilkła na chwilę, a potem, nagłym ruchem obie ręce towarzyszki swej pochwyciła.

— Słuchaj-no — zaczęła — słuchaj-no! Nie wesoło ci często... smutno... żal, a sama nie wiesz dla czego. Ja ci to wytłómaczę... ja! Nie wesoło ci, bo oprócz starej matki, która dziś, jutro do grobu pójdzie, nie masz nikogo swego... swego... ktoby ci przyjacielem był i opiekunem i sercem przywiązanem, na którem mogłabyś głowę bezpiecznie położyć... Smutno ci, bo widzisz, jak inne kobiety kołyszą i pieszczą swoje dzieci, żyją w swoich do-

mach i garną do tych domów co mogą i stroją je w co mogą i jak ptaki, ścielą gniazda dla siebie i swoich na szczęśliwe jutro, na wygodną starość, na spokojną śmierć... żal ci, bo... bo masz w sercu coś, czego nikomu nie dałaś, bo przychodzą ci do głowy takie wyrazy, których nikomu nie powiedziałaś, bo chciałabyś objąć kogoś mocno, mocno i wiedzieć, że jemu z tobą dobrze, miło, szczęśliwie... bo... choć zamiłowałaś robótki i oczy nad niemi wyślepiasz, myślisz sobie czasem, że to są głupstwa, że... zmarnowałaś się!

Mówiąc to, przybliżała coraz do twarzy towarzyszki twarz swą gorącą, wzburzoną, z pałającemi oczami. Mowa jej była śpieszna, oddech szybki.

— Cóż? — zapytała, po chwili milczenia — cóż? czy nieprawda? czy nie dobrze wytłómaczyłam ci, co i dla czego czujesz?

Rozalia siedziała z twarzą ukrytą w obu dłoniach. Brygida zaśmiała się, zwykłym sobie krótkim, wewnętrznym śmiechem.

— Aha — rzekła — widzisz, jak zgadłam.

Po chwili Rozalia otarłszy chusteczką twarz zwilżoną łzami, wzięła znowu rękę towarzyszki.

— Może i zgadłaś — szepnęła — zdaje się, że doprawdy zgadłaś... Takie już widać nasze serce, że potrzebujemy w kimś kochać się... ja kochałam się już dwa razy w życiu, raz za dobrych jeszcze czasów i to dawna bardzo historja, drugi raz, niedawno... powiem ci nawet pod sekretem w kim, ale nikomu nie powiesz? Ot w Stasiu Żyrewiczu... ach, jak ja się w nim kochałam parę lat temu... potem wyperswadowałam sobie, ale żal został...

— Znowu głupstwo! — szepnęła Brygida.

Rozalia nie dosłyszała szeptu tego i mówiła dalej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LORD BYRON

jego charakter i umysł

napisał

FELIKS LEWICKI.

(Ciąg dalszy.)

Musimy zauważyć tutaj, że w chwili budzącego się romantyzmu, gdy świat po wstrząśnieniach i rewolucjach, wywołanych przez filozofję encyklopedystów, rozdzierał zasłonę wiekowego letargu ducha i ujrzał jutrzenkę nowych myśli, najsilniejsze umysły przejęte zostały mistycyzmem. Była to epoka ducha, powstająca jako reakcja, jako rewolucja przeciw materjalizmowi XVIII wieku. Walki filozoficzne i scholastyczne, z których zaledwo świat wychodził i to jeszcze nie zwycięzki, w sposób nieokreślający jeszcze postępu, wywoływały macania, zboczenia duchowe i uniesienia umysłów. Nic łatwiejszego dla ducha człowieka, jak przejąć się natchnieniem jakiegoś posłannictwa. Romantyzm zabłysł pod egidą Johnsona, Cowley'a, Schelley'a, Chateaubrianda, Lamartina, Mickiewicza, Krasińskiego i całej niemal plejady szermierzy romantyzmu, którzy wszystko poświęcali dla ducha; w tem zaraniu szkoły nowej, jeden był krok do mistycyzmu. Byron wierzył w dnie feralne, wierzył w zjawienia się pośmiertne. Żadnej pracy nie rozpoczynał w piątki, w dnie te nie przyjmował nikogo, nie podawał nigdy nikomu soli przy stole, a wywrócenie solniczki, upuszczenie na ziemię chleba, stłuczenie lustra i t. p. wypadki naturalne, w bardzo zły humor go wprawiały, wywołując w nim najnierozsądniejsze przypuszczenia.

Mówił często o różnicy, jaka zachodzi pomiędzy sposobem myślenia i sposobem działania. Dosyć żywą pewnego dnia rozmowę wszczął z hr. Blessington o tym przedmiocie.

— Spotkasz się często, milady — rzekł — z osobami, które mają szczególniejszy dar do okazania swojej w towarzystwie lekkomyślności, a przecież ci ludzie okazują niezaprzeczoną wyższość umysłu w pracy gabinetowej. Z doświadczenia to mówię. Starałem się dowiedzieć, czy i inni nie są takiego samego co ja usposobienia, a mianowicie, czy mój umysł w zadumaniu, mogący wzuieść się do najwyższych i najsilniejszych myśli, łatwo spada do drobnych i błahych spraw światowych, co, gdybym u drugiego zauważył, wzbudziłoby we mnie najgłębszą pogardę? Mam jeszcze wadę jedną: jestto apatyczna obojętność, raczej brak delikatności w wyborze osób. Ludzie najgłupsi, są tak samo przezemnie mile widziani, jak ludzie obdarzeni wyższą inteligencją. Jeżeli szukałem dobrego towarzystwa, to nie dla tego, że pragnąłem chwilę przyjemną w niem przepędzić, ale poprostu dla tego, że pragnąłem zachować godność i stanowisko należne mi w społeczeństwie. Najświetniejsze towarzystwa, wzbudzały we mnie zawsze rozczarowanie z powodu błahych spraw, jakie traktowały. Byłem sam tyle błahym, że im tego nie wybaczyłem, bo błędy i wady jakie w sobie mamy, są właśnie te, których drugim nie wybaczamy. Czy nie jesteś milady tego zdania?...

— Wielka prawda — odrzekła hrabina — bo zwierciadło czyste i bez skazy, oddaje przedmioty czyste i tak samo bez skazy.

— Oto myśl poetyczna — zawołał Byron — piękny obraz, porównanie wyborne. Użyję go do pierwszych moich wierszy. Jednakże milady, jakże wytłumaczyć ową tendencję do błahej rozmowy? Posiadam to, a w samotności przecież, oddaję się głębokim myślom.

— Właśnie dla tego że jesteś pan takim w samotności, innym bywasz w towarzystwie — odrzekła hrabina — struna łuku bezustannie naciągniętą być nie może. Stan moralny i umysłowy, jakiemu podlegasz pan w towarzystwie, niczem więcej nie jest jak tylko reakcją tworzącą się w umyśle pana. Gdy z pojęciem wyższości swojej nad innymi, porzucasz pan tę wyższość, to dla tego aby w następstwie z większą siłą i potęgą oddawać się myślom.

Ten sąd o nim widocznie głaskał miłość jego własną.

— Z tej przyczyny, — dodała hrabina — ludzie świetni w mowie są po większej części złymi pisarzami.

Byron na te wyrazy uśmiechnął się z widocznem zadowoleniem.

— Co do mnie — odrzekł — im więcej żyję, tem więcej unikam czczej rozmowy; lecz gdy znajduję się z osobą, która nie zakłóca mi spokoju i pozwala mi głośno myśleć, natenczas rzucam prawdziwe potoki myśli nad abstrakcyjnemi zadaniami i pewny jestem, że podobna rozmowa ożywia umysł i imaginację. Lubię także coś do domu przynieść, myśl jaką nową, co jako źródło rzekę rozszerza i popycha prąd silniej...

Doznałem już korzyści z takiej rozmowy, odbywając po Wenecji spacery z doktorem Hopnerem. Przecudnie słuchał a uwagi jego były oryginalne i delikatne. Był to przytem człowiek z gruntu dobry i wszystko od niego przyjąć mogłem, bo to, co mi mówił pochodziło od człowieka dobrej woli. Rozmowa prowadzona w zwyczajnem towarzystwie, szczególniej angielskiem, tak jest mało zajmująca i sztuczna, że trudno ztamtąd wynieść myśl pocieszającą.

Dowcipna ta antyteza, wywołała uśmiech na ustach Byrona.

— Na Jowisza — ciągnął dalej — to prawda. Pani wie jak w Anglji *ubierają* nieobecnych. Dla tego też każdy z towarzystwa ucieka, lękając się aby *swego charakteru tam nie zostawił.* Jeżeli ja *ubieram* kogo, którego z moich przyjaciół naprzykład, to dla tego że wiem iż oddają mi ładne za nadobne. Pewnego dnia jeden z moich szczerych przyjaciół, zrobił mi gorzką wymówkę, bo trzecia jakaś osoba nadzwyczaj miłosiernie zaniosła mu wszystko co o nim mówiłem. Wyznałem otwarcie zbrodnię moją i dodałem na obronę, że i on nieraz ze mną tak samo postąpił i że przez to nie mniej go kochałem. Zwrócę pani uwagę że nigdy nie słyszałem aby on coś przeciwko mnie kiedykolwiek mówił, fakt jednak wziąłem za pewnik i dobrzem zrobił. Oto tak przyjaciele postępują.

— Czy wierzysz pan — zagadnęła hrabina — że sceptycyzm pana co do szczerości i wierności przyjaciela, mógłby dać do myślenia, że nie masz pan ani przyjaźni ani stałości dla drugich? Wyznajesz pan sam że zostałeś oszukanym przez osoby w których położyłeś zaufanie, a ta opinja jest oparta u pana na znajomości samego siebie.

Szczery śmiech ten argument wywołał u Byrona.

— Znałem opinję pani co do mnie — zawołał — chwaliłem się z tego, że doskonale znam ludzi a milady chcesz abym doskonale znał tylko samego siebie.

Próżność ludzka jest tego rodzaju, że mniej lęka się oszczerstwa aniżeli ośmieszenia. Największa kalumnja wybacza się prędzej, aniżeli najlżejsza satyra, jak sam Byron powiedział. Jeżeli wielki ten poeta był przedmiotem najostrzejszej krytyki, jeżeli wzbudził taką wielką ku sobie nienawiść, to dlatego, że ostra jego satyra, smagała niedorzeczności współziomków, smagała ich błędy i dziwactwa, absurda i słabości. Nie porywał się nigdy jednakże, przyznać mu to potrzeba, do szarpania charakterów.

Niedługo będzie sześćdziesiąt lat, jak umarł, a do dziś dnia napróżno czci domaga się jego pamięć, tak ślepa nienawiść jego współziomków jest trwałą. Sprawiedliwość jednakże będzie mu wymierzoną, bo tworzy się już grono Anglików, które myśli o wzniesieniu mu pomnika.

(Dokończenie nastąpi.)

---

*

Kilka słów o dziele „Prusacy w Niemczech“.

I.

Mamy przekonanie, że czytelnicy będą nam wdzięczni za parę wyjątków z książki Wiktora Tissot'a pod tytułem „Prusacy w Niemczech“, gdyż w nich jest opisana niesłychanie ciekawa osobistość XIX wieku.

„Król bawarski i wirtemberski dzielą między sobą panowanie nad południowemi Niemcami, lecz chociaż blizcy sąsiedzi, nie są do siebie podobni, jeden stracił zupełnie szacunek swego ludu, drugi zachował go pomimo swoich dziwactw. W Sztutgardzie mówią już głośno: „Karol kupił sobie parę szelek“. W Monachium mówią jeszcze: „Nasz król kupił fortepiano“ i tylko jedni Prusacy pozwalają sobie nieprzyzwoitych żartów z koroną bawarską. Karol Wirtembergski ma tylko trzech wiernych sług w królestwie: krawca swego, szewca i golibrodę; Ludwik II jeżeli nie ma admiratorów, to posiada zwolenników, bo chłopi są mu oddani.

O drugiej popołudniu codziennie Karol wychodzi z pałacu swego pieszo, z parasolem pod pachą, z małym pieskiem i z ministrem u boku, bo potrzeba się pokazać. Konieczne mu są pokłony, jak chleb powszedni, bo się z nimi nie zawsze spotyka. Często, dla ściągnięcia uwagi przechodzących, król siedzi godzin kilka przy oknie, bębniąc po szkle palcami. Zapewnie myśli: „bębnię więc jestem“. W ten sposób dowodzi, że Wirtemberg ma jeszcze swego króla; Karol jest podobnym do słonecznika, który ciągle szuka słońca.

Ludwik II natomiast należy do rodziny fiołków, on się chowa przed wzrokiem ludzi i obawia się światła dziennego. Dla tego też zawsze wyjeżdża tylko w nocy, konie biegną prędko, a przed karetą pędzi koniuszy z pochodnią w ręku. Koła karety królewskiej są owinięte kauczukiem, a gdy przejeżdża cicho i prędko, wydaje się jakby leciał jaki powóz fantastyczny. Ten mały, dobry król, nie jest królem zwykłym. Powiedzieć o nim można, iż przyszedł za wcześnie, albo też za późno. W naszej Europie, bagnetami najeżonej, wygląda on jak ptak rajski przeniesiony do ciemnego lasu. Niepodobna go sobie przedstawić inaczej, jak otoczonego poezją gwiaździstej nocy, przy muzyce Wagnera, w gotyckim zamku, z kaskadą w głębi, z jeleniem oswojonym, z białemi posągami, uśmiechającymi się pod draperją z liści. Powiedzieć można, że Bawarja otrzymała go od Nimf, gdyż się urodził w 1845 roku w Nimfenburgu, to jest zamku Nimf, leżącym o jedną milę od Monachium. Było to ulubione miejsce Maksymiliana II, ojca teraźniejszego króla, ktory wstąpił nat ron w skutek abdykacji Ludwika I, „protektora Loli Montez“. Maksymilian nie był złym człowiekiem; panowanie jego odznaczało się dobremi chęciami, lecz, niestety, nigdy on sam nie wiedział, czego chce. Czasami bawił się w liberalizm, to znowu pokazywał mu zęby, to gniewał się na Prusy, to szukał przyjaźni ich króla. Jednem słowem, była to niestałość uosobniona. Według zdania króla, znaczyło to utrzymywać równowagę i prowadzić politykę wypośrodkowaną. Ludwik II odziedziczył po ojcu charakter wahający się, niepewny, pełny skoków i kaprysów, jest niestałym jak kobieta, a zmiennym jak barometr. Zaledwie wyciągnął rękę ku Prusom, już ją cofa i ucieka jak oparzony. Gdy sądzi, że z niego są niezadowoleni katolicy, posyła natychmiast piękne obrazy i świeczniki do kościołów. Król jest podejrzliwym jak koń dziki. Nigdy nie chciał widzieć się z królem Wilhelmem, obawiając się aby w Berlinie nie obchodzono wypadku tego, jako dowód poddania się: oto już dziesięć lat, jak król bawi się w ciuciubabkę z potomkiem Barbarosy. Ileż to razy poważna gazeta Niemiec północnych zwiastowała, że Kediwe monachijski jedzie z pokłonem do sułtana Berlińskiego. Kilka lat temu gazeta półurzędowa dała sprawozdanie o zjeździe. W trzy dni potem musiała odwołać wszystko, bo przestraszony Ludwik II cichaczem wyjechał ze stolicy i uciekł w swoje góry. Król lubi takie niespodziewane wycieczki, podobne do znikań teatralnych. Ministrowie jego niekiedy po piętnaście dni nie wiedzą, gdzie się król znajduje. W 1873 r., ministrowie mając jakąś ważną sprawę, musieli udać się w pogoń, bo król konno przez Tyrol udał się do Włoch, dwa dni galopowali za nim, nim udało się im doścignąć pana swego. W sierpniu 1874, stolica cała była poruszona. Król zniknął i nikt w mieście, ani w domu nie wiedział, gdzie się podział. Stare baby mówiły już, że Bismark kazał go zaszyć do worka i rzucić do Szprei. Dwa, trzy dni przeszły, niepokój rósł stopniowo, gdy z dzienników paryskich dowiedziano się, że pewien hrabia Berg stanął w hotelu ambasady niemieckiej. Uspokojono się wtedy, bo tylko Ludwik mógł się skryć pod tym pseudonimem, który jest nazwą jednego z zamków jego Nareszcie w roku przeszłym znikł znowu. Gdzie był, zapytacie? -- W Reims, gdzie chciał zwiedzić katedrę w dzień świętego Ludwika.

Laury Milciadesa nie zakłóciły snu jego nigdy. Król ani razu nie chodził na wojnę z wojskiem. W 1866, roku, wtedy gdy krew Bawarczyków płynęła pod Kissingen i gdy na polach Sadowy rozgrywały się losy Niemiec południowych, król oddychał balsamicznem powietrzem lasów nad brzegiem jeziora Starenberg. Huk dział nie mógł przerwać jego pustelniczego życia, w nocy jeździł w łodzi po jeziorze, a w dnie błądził po lasach jak poeta. Gdy minister von der Pfordten przybył do zamku z uwiadomieniem, że bitwa przegrana, że Norymberga wzięta i że Prusacy idą do Monachium, znalazł króla przebranego za Tristana Ludwik zmartwił się nieco, dowiedziawszy się o tej smutnej nowinie i pobiegł do fortepianu, aby się pocieszyć grając romans Szuberta. Całe państwo przyjęło udział w wojnie: żołnierz widział trajedję, mieszczanin dramat, a król idyllę.

Polityka go nudzi. W tej właśnie epoce oddał się zupełnie wykonaniu dzieł Ryszarda Wagnera. Niezgłębione tajemnice tej muzyki objaśniła królowi kobieta-artystka, znana w Niemczech pod imieniem Cozima. Pani Cozima była wtedy prawą żoną Bülowa, królewskiego nauczyciela muzyki. Córka opata Liszta, była, jak i jej ojciec, zentuzjazmowaną dla dzieł autora Tanhauzera. Wiadomo że Liszt wynalazł Wagnera, protegował go z początku i błogosławił tryumf jego. Pani Cozima była kapłanką, która nawróciła młodego króla na religję muzyki przyszłości. Wagner dla wyrażenia swej wdzięczności, wykradł ją swemu przyjacielowi Bülowowi i ożenił się z nią. Ludwik II. dał z początku willę w darze dla maestra, na którym się nie poznała Francja. Widywał się z nim codziennie i nieraz noce całe przepędzał na korespondencji z nim. W tych listach młodocianych wiele było o muzyce, o świetle księżyca, o teatrze, o jedności Niemiec i upadku Francji, o żydach i jezuitach, których Wagner nienawidzi jednakowo. Młody król zapominał się nieraz do tego stopnia, iż szydził ze „swoich tłustych Bawarczyków.“ Powiadają, że Wagner te listy kompromitujące złożył w dobre ręce.

Wkrótce król przekonał się, że przestrzeń od pałacu do willi Wagnera była zbyt wielką i zapragnął mieć maestra koło siebie. Kazał więc dać mu mieszkanie we własnym pałacu, lecz ten muzyk-przyjaciel był kapryśny jak kochanka: potrzebne mu były ciągle: złoto, zegarki, tabakierki i różne kosztowności; żądał, aby gabinet jego pracy był umeblowany według pór roku: na wiosnę potrzebował malowideł i mebli zielonych, ptaszków w klatkach i wiele, wiele kwiatów; latem kolor mebli i firanek musiał być czerwony, w jesieni żółty, a zimową porą biały i błękitny. Wagner ubierał się zawsze stosownie do dekoracyj, które go otaczały. Gdy włożył znakomity swój szlafrok z makaty złotej, artysta nie mógł mieszkać w pokoju, który nie był pomarańczowego lub kanarkowego koloru.

Te szaleństwa zaczęły wyczerpywać skarb państwa. Bawarczycy, znani ze swej praktyczności, zaczęli mruczeć z początku cicho, a potem i głośno. Monachium zawrzało tak groźnie, jak w 1848, gdy Lola trzymała pod swoim małym pantofelkiem koronę królestwa. Wyświstano dworzanina, którego obwiniano, że popycha króla do rozpusty. Wagner nie śmiał pokazać się na ulicy. Ludwik przeląkł się burzy, która groziła napaścią na pałac jego i oddalił muzykanta. „Wolę, wyraził się w dekrecie, który ogłosił z tego powodu, zachować zaufanie i przyjaźń mego ludu.“

Wagner wyjechał z Bawarji, lecz Ludwik II. przejął się myślami, teorjami i doktrynami jego. Kompozytor rewolucyjny wywarł wpływ bardzo znaczny na umysł słaby i zmienny młodego króla. W obec niego Wagner pozował na apostoła idei niemieckiej, na arcykapłana nowej ery muzykalno-politycznej, którą powinna była stworzyć jedność niemiecka. Jeden z jego biografów mówi, że w początku wojny 1870 r. Wagner nie mogąc zapomnieć haniebnego upadku Tanhauzera w Paryżu, użył wszelkich środków, aby zmusić króla do dania pomocy Prusom. W tym samym czasie, dodaje p. Meister, Ryszard Wagner zjawia się jako prorok muzykalnego jeniusza niemieckiego, ogłasza przedświt nowego cesarstwa, propaguje łączność siły boskiej z siłą ludu, cezaryzmu z socjalizmem, demokracji z królewskością. Maestro przed oczyma rozentuzjazmowanego króla rozwinął obraz ludu poetycznego i muzykalnego, u którego kapitał i praca oddają się na służbę muzyki i sprawiedliwości!... Widział on już geniusz niemiecki, łączący wszystkie ludy od Renu do Równika i nad nimi panujących bogów mitologii germańsko-skandynawskiej.

Wagner żądał od króla zniesienia całego cyrkułu w Monachium i zbudowania na jego miejscu ogromnego amfiteatru, mogącego pomieścić do 50 tysięcy widzów. Izara powinna była służyć do urządzania na niej igrzysk wodnych. Lecz król, w ostatniej chwili, cofnął się przed ogromem wydatków; potrzeba było prosić o kredyt izb, a było bardzo prawdopodobnem, że izby odmówiłyby, chociaż Niebelungenring, ta wielka trilogja Wa-

gnera, miała allegorycznie przedstawić tryumf rasy niemieckiej nad rasą łacińską, „zniewieściałą i wyrodzoną.“ Wtedy to postanowiono zbudować około Bayreuth teatr narodowy mniejszych rozmiarów; na budowę król i artysta przeznaczyli półtora miljona. Lecz ponieważ całe Niemcy miały przyjąć udział w wydatkach, a szlachetny naród teutoński nie bardzo zna drogę do własnej kieszeni, więc zebrano zaledwie dwieście tysięcy franków, wliczając w to i podarunek królewski kediwa Egiptu. Plan więc musiał być zmieniony bardzo znacznie...

Od czterech lat między królem romantykiem i tytanem muzyki istnieją tylko finansowe stosunki. Powiadają, że król kupił od artysty za dożywocie dwunastu tysięcy franków, wszystkie jego dzieła muzyczne, które on napisze.

Z WIKTORA HUGO

Najnowszego poematu

»*Les quatre vents de l'esprit*«

Księga Satyryczna

V.

Satyra w naszych czasach, śpiew z krzykiem złączony,
Żelazne usta, z których rzewne płyną tony,
Nie jest tem, czem bywała w miniony wiek złoty,
Kiedy to nas, studentów, bezbronne istoty,
Wiedziono do Sorbonny, gdzie w ponurej sali,
Przed nami, cośmy wszyscy mało go słuchali,
Kręcąc w kółko swą lekcję, jak wrzeciono — słaby,
Malutki, suchy Andrieux, z fizjognomią żaby,
Gryzł Szekspira, Hamleta, Lira na otręby,
Wziętymi od Boala fałszywemi zęby.

Życie w tym niespokojnym wieku, w którym blaga
Kwitnie, coraz to cięższem jest, i prawda naga
Woła o pomoc myśli, odkąd ją obłudni
Zamurowali razem z kłamstwem w jego studni.
Po Russie, po Dantonie, wiedzie los bezoki
Na smutną, ludzką duszę nocy ciężkie kroki:
Prawo i obowiązek z raną w łonie, kona,
Słońce do gwiżdżącego śmieje się dragona,
Człowiek starą bussolę, honor, rzuca w morze,
Zwyciężony pociesza się — liżąc obroże,
Sukces jest dziś Sułtanem, a mord jest wezyrem;
Powodzenie historją jest — a pod tym kirem,
Niestety! straszna, stara, bezwstydu szkarada
Pojawia się znów w oczach i na czołach siada,
Ucztuje z tyranami, a lud uciśnięty
Tego brudnego wina znowu pije męty.
Dla tego to satyra jest surową. Ona
Nie zna co wielkość królów przez chwalców sławiona,
I tylko gdy ją chłoszcze myśli o purpurze.
Rusztowanie, co trzeba rąbać wiór po wiórze,
Prawo krwi, co nikczemne, rzuciwszy tortury,
Uparte, zatrzymało miecz i pień ponury,
I któremu potrzeba wyrwać szpony; dziecię,
Które smutna ciemnota ciężką dłonią gniecie,
A które, jak ptak wolne, winno rozbić skrzydła;
Rozpędzić po kolei sromotne straszydła:
Zło, przesąd, błąd, ten potwór, co się rozsiadł w Rzymie,
I pod pieczęcią trzyma myśl ludzką, co drzymie,
Dać wolny głos boleści i osładzać jęki . . . .
Nad szczęśliwym człowiekiem blask nowej jutrzenki —
To cel, któremu ołtarz wzniosła w swej świątyni.
Ztąd gniew, który ją światu użyteczną czyni.

Ażeby wskazać wszystkim cnotę, miłość, czystość,
Słuszność, potrzeba tylko, aby rzeczywistość
Wstąpiła na horyzont i przez swe spojrzenie
Rozpędziła mgły nocne i żałobne cienie.
Wstyd, występek, wielkości, sława, piękność, wady,
Mięszają się pospołu wśród nocnej szkarady;
Fałsz zdaje się uczciwym wśród nocnych omamień.
Co to jest jasny promień? to probierczy kamień;
Światło ocenia wszystko blaskami próbnemi,
A sprawiedliwość — prawda oświeca na ziemi.
Sprawiedliwość jest szczytem — a prawda jutrzenką.

Więc światło, słuszność, dobroć, co łagodną ręką,
W gniewie, kładzie balsamy, by nie piekła rana,
Złośliwym przebaczenie, ale złość schłostana,
Oto co dziś Satyra, jak w starożytności,
Nieugięta i czuła — winną jest ludzkości.
Markiz czy doktor, kasta, zblizka czy z daleka,
To nie dla niej — jej trzeba całego człowieka;
Prześladuje nikczemne, a nie śmieszne czoła.

Mały Ogjasz, małego Herkulesa woła,
A Despreaux złośliwy był tylko zabawnym.
Nie ma nic do czynienia z Liliputem dawnym.
Ona leci przez cienie i przez katastrofy,
Wielka i blada; i przez, jak huragan, strofy
Woła do swojej psiarni: pędźmy! dalej! dalej!
Gdy nędzny tyran depcze pierś ludu zuchwale,
Strzeżony i bezpieczny, sam na wszystko gotów.
Ona swym psom skrzydlatym oddaje despotów,
Straszydła i olbrzymów, karłów i siepaczy,
I stając przed carami, ciska ich rozpaczy.
W jej wierszach słychać głuchy trzask tygrysich kości.
Jak ptak, co odlatuje ku wiecznej jasności,
Tak ona zawsze stronę honoru obiera.
Anioł Józafatowy, widmo Elsenera,
To jej druhy; a mądra, zda się być szaloną,
Tak wielkie miłosierdzie napełnia jej łono.
Jej potrzeba, by grozić i grzmieć na wsze strony,
Mieć pod sobą lud cały, gorżki i spieniony . . . .
Tylko na oceanie wichry są swobodne.

Kiedy Kolumb odpływa, ona na nadwodnej,
Urwistej stoi skale, ona szle swe brawa
Gdzie Fulton, Garibaldi, Byron, Watt, gdzie sława,
I tobie Sokratesie i tobie Wolterze!
Ona sprawia, gdy gieniusz śmierć ze świata bierze,
Że laur na jego grobie wykwita i płacze;
Tak, ona nie pozwala aby zgnił inaczej.
Na klęczkach opatruje zwyciężonych rany,
Błogosławi przeklętych, przeklina tyrany,
I walczy; ani racząc nawet myśleć o tem
Jak ją sądzą lokaje wyszywani złotem.
Bo pod rządem zdradzieckim i podłym jest zbrodnią,
W chwili skonu ofiary nie wstrząsać pochodnią
I kochać niewolnika z po za jego kraty:
I kto płacze umarłych — ten obraża katy.

Czy jest smutną? nie, nigdy, bo jest gromowładną.
Gdy nad grobem, do uczty zwycięzcy przypadną
I są zadowoleni z swej hańby, i mają
Bezwstyd śpiewać hosanna całą podłą zgrają,
Kiedy zdobycz w ich zębach drga, jęczy i kona,
To na tę świetną fetę przybywa i ona.
Do tych uciech olbrzymich, do tych igrzysk żywych,
Do tych tryumfów wielkich i orgij burzliwych,
Do bankietów, przepychu pełnych i ohydy,
Ona niesie złowrogi śmiech Eumenidy.

Ale jej wielka praca — to życie. Jej cele:
Wygnać śmierć, stargać więzy — chociażby w swem dziele
Miało popularnego zadrasnąć tytauna.
Jak jest wielką miłością, tak gniewem owiana.
Jakto, więc abdykacja spoczynkiem by była?
Sumienie ludzkie — trudna do zbudzenia bryła;
Honor, swój ogień święty coraz węższem kołem
Zatacza i pod ciężkim gasi go popiołem.
Dla tego to Nemezis śpiewająca, która
Skoczna, uderza jako piorunowa chmura,
Bogini Juwenala, ostra, gorżka muza,
Jak Hebe, pełna wdzięku — groźna jak Meduza,
Która zasiała w nocy dla Dantego ziarno,
Która wieńczy cierpienie i miłość ofiarną,
Jeszcze wspanialszą szału rozpala pochodnię,
By zbudzić zapomnienie, niż by karać zbrodnie.
Przybliża się do ludu i spokojnym głosem,
Gorżkie jamby nad śpiącym wymawia kolosem...
Wtedy strofa drży cała w swem tragicznem dziele,
Rozognia się, by iskrę skrzesać w tym popiele,
W tej całej jak grób smutnej, fatalnej niemocy.
I gniewny wiersz się staje światłem pośród nocy.
Tak czerwieni się w cieniach dzika twarz, gwałtownie,
Pełną piersią dmuchając na gasnącą głownię.

M. Rodoć.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Mamy tedy kompletną zimę i to tak wcześnie jak najstarsi ludzie nie pamiętają. Już to na tych najstarszych ludzi nie bardzo można się powoływać, bo właśnie ci najstarsi ludzie mają zwykle najgorszą pamięć i często nas w błąd wprowadzają. Otóż skutkiem tak wczesnej zimy i sanny, ze wszystkich stron dochodzą nas żale, że moc kartofli zamarzło, temu sto, temu przeszło sto morgów, a ceny zaraz idą w górę i na ogólnej biedzie ktoś szczęśliwy korzysta. Co prawda, to najgorzej wychodzimy na takich nadzwyczajnych wypadkach, my, żyjący po miastach, tak, że dalibóg można nas zaliczyć do owych uczniów szkół dawniejszych, których regularnie codzień ćwiczono, albo za to, żeby się poprawili, albo za to, żeby się nie zepsuli. W całym kraju rok obecny był urodzajnym: — nawet bracia szlachta przywykła do nieustannych lamentów, już cicho siedzi, a pomimo to życie w miastach podrożało, bułeczki, owe kajzerki ponakrawane, dochodzą do takiej małości, że dobry mężczyzna mógłby je połykać jak kapsułki z lekarstwem. Kasza, mąka, masło, wszystko drożeje, mięso dochodzi trzydziestu kilku centów za funcik, z dokładką ćwierć funta kości lub żył. Więc pytam się, gdzie ma być źródło naszej sympatji dla urodzaju lub nieurodzaju, dla zamarzających łanów kartofli, i tym podobnych klęsk, kiedy nam te fanaberje natury żadnej ulgi nie przynoszą. Ot i teraz ledwie śnieg zaczął pruszyć, już panowie składnicy drzewa od razu, jak to powiadają, *zrobili jedność* i podnieśli cenę na sągu o dwa reńskie. I pytam dla czego? Czy ich więcej ma kosztować drzewo, lub zwózka z lasu do kolei? Nie, przyznają sami, że drzewo mają już w składach gotowe, zapłacone, zwiezione, lecz po prostu *zrobili jedność*, aby drzeć łyka, póki się dadzą... A my co na to? Dajemy się obdzierać jak młoda lipina w lecie i płaczemy, kurczymy się nadstawiając plecy wyzyskiwaniu z godną chrześciańskiego poddania się pokorą. Rzeźnik, piekarz, przekupień u nas są panowie i łaskawcy futrujący kucharki nasze, a często i panie, gdy która odważy się jakąś uwagę zrobić owemu spasionemu dobrodziejowi z jatki, czy ze straganu a my zakła-

damy banki rolnicze i wielkie instytucje finansowe, płaczemy że nasza młodzież wysoko ukształcona nie ma co robić, tworzymy Spójnie, Rodziny, Siły, Gwiazdy i t. p. grywające komedje, wydające bale, zamiast pomyśleć nad tem jakby uczciwie zarobić konkurując z dobrodziejami w zaopatrzeniu miasta w zdrowe i świeże pokarmy bez owej *jedności*, a nawet wbrew tej jedności. Czyż do prowadzenia zakładów rzeźnickich, piekarskich i t. p. trzeba tak wielkich zdolności i specjalnego talentu? Czy na to potrzeba subsydjów państwowych i krajowych i rozumu stanu, i ankiet i egzaminów żeby majątek taki zrobić jak go robi każdy piekarz, rzeźnik i traktyernik? Gdzież jest szanowny magistrat z tylu sekcjami i tylu radnemi i tylu fachowemi siłami, do których zdaje się powinnoby należeć wynalezienie pewnego hamulca na owe *robienie jedności* w podnoszeniu cen bez żadnej innej racji prócz spadnięcia śniegu! A co to dopiero będzie po Nowym Roku, gdy zamkną granicę dla bydła — szanowne gospodynie przygotujcie się znowu na *jedność* panów rzeźników....

Po sejmie, i wskutek zawieruchy śnieżnej, całe życie umysłowe lwowskie koncentruje się teraz w teatrze, który trzeba to przyznać co parę dni darzy nas jakąś nowością sceniczną. Opera tylko szwankuje i zdaje się ma zamiar ni tem ni owem przekawęczyć ten sezon zimowy, aby się tylko nazywało że niby jest opera we Lwowie... Literaci także się ruszają. Koło literackie odbyło walne zgromadzenie i jak się zdaje ma zamiar wyjść z dotychczasowej rutyny, odbywania co dwa tygodnie swoich posiedzeń w pożyczanym na parę godzin lokalu. Prawda że każdy początek zwłaszcza u nas we Lwowie jest trudny, lecz gdy Koło szczęśliwie przeszło już czas próby i zgromadziło dość znaczny zastęp członków, wypadałoby potoczyć się trochę dalej naprzód i postawić sobie więcej sformułowany cel swego istnienia, lub naukę czy zabawę, lub jedno i drugie razem. Pierwsze lody zbliżenia się ludzi pracujących na jednej niwie już przełamane — spodziewamy się zatem, że nowy wydział postara się obok utrzymania tej samej sympatji członków dla instytucji która się nadspodziewanie dobrze przyjęła, posunąć ją o krok dalej, aby się w obranym kierunku rozwijać mogła. Jeżeli ściśle naukowych sukcesów po stowarzyszeniu na pół naukowym na pół towarzyskiem oczekiwać nie możemy, to jesteśmy zdania, że Koło literackie w tym składzie jak jest, może piśmiennictwu naszemu oddać znakomitą przysługę, jeżeli co rok ułoży i ogłosi sprawozdanie z ogólnego ruchu literackiego we wszystkich dzielnicach Polski. Czy dla czytającej publiczności, czy dla samych literatów i przyszłych dziejopisów naszego piśmiennictwa, sprawozdanie takie, skreślone przedmiotowo i bezstronnie, może mieć bardzo ważne, zajmujące a nawet powiemy dyrektywne znacznie.

PAN MINISTER

przez

JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(Ciąg dalszy.)

Sulpicjusz Vaudrey poślubił Adrjannę z miłości. Wychowanka klasztoru w Grenobli, łączyła ona w sobie uroczą nieświadomość dziewicy z poświęceniem wrodzonem kobiecie. Sierocy jej majątek był dość znaczny; ale, jakkolwiek Sulpicjusz nie był bogatym, nie wywiadywał się przecież o wysokość posagu panny Adrjanny Gerard, kiedy prosił o jej rękę opiekuna jej, doktora Reboux. Poznali się na wieczorkach w Grenobli. gdzie Adrjanna bywała zawsze nieśmiała, jakby zalękniona, mało mówiąca, wodząc na okół łagodne, inteligentne spojrzenia.

Krótkie, urywane rozmowy, przypadkowe sąsiedztwo podczas koncertów i mnóstwo innych drobnostek, nieuniknionych w towarzystwie, zbliżyły ich do siebie; reszty dokonała anielska dobroć Adrjanny, dziecięca jej nieśmiałość i jakaś myśl wyższa, przebijająca w szczerym uśmiechu ośmnastoletniej panienki.

Sulpicjusz był wolny i również sam jeden na świecie, bo i on już złożył do grobu najbliższą sercu jego osobę, matkę swoją, która podwójnie matką mu była: z ciała i z duszy, przez mleko swych piersi, któremi go wykarmiła, i przez szlachetne zasady, jakie wpoiła w jego umysł.

Ojca przypominał sobie jak przez mgłę tylko, jako młodego jeszcze mężczyznę, melancholicznych rysów, w czarnej adwokackiej opończy, w obec którego zaczynał dopiero wymawiać pierwsze słówko niby modlitwy dziecięcej: *papa*.

Tak osamotniony wśród Grenobli, dla której porzucił rodzinną swą wioskę Saint-Laurent-du-Pont, w epoce kiedy poznał Adrjannę, był znękanym na duchu i odczuwał potrzebę ustalenia swojej przyszłości.

Liczył wówczas lat trzydzieści cztery. Z wyjątkiem czasu spędzonego w Paryżu, na kursach prawnych, mieszkał ciągle na prowincji, w swoim Delfinacie. Tam spędził dziecięce swe lata, tam wyrósł na młodzieńca w owej starej siedzibie w Saint-Laurent, gdzie każdy kącik budził w nim słodkie wspomnienia młodości; ów biały salon, wykładany drzewem w smaku epoki Ludwika XVI, z którego po kilku stopniach wychodziło się na taras; owe portrety nieznanych przodków: to adwokatów w napudrowanych perukach, w czarnym stroju *Stanu trzeciego* *), pulchnych i rumianych, z podwójnemi podbródkami opuszczającemi się na szerokie kołnierze; to uśmiechniętych babulek, w oryginalnie dziwacznych fryzurach, w sukniach w duże kwiaty, przymilających się i kokietujących jeszcze z drewnianych ram swoich, owe stare księgi wreszcie, w odwiecznych oprawach, spoczywające w ogromnej oszklonej bibliotece, lub porozkładane na stołach pod ścianami, zdobnemi w broń i przyrządy myśliwskie.

W tem to mieszkaniu, upłynęła cała jego przeszłość, mająca w sobie coś poetycznego, a tem więcej powabna, że na wpół osłoniona wspomnieniami z miłych lat dziecinnych. Ileż to razy wyobraźnia przesuwała mu przed oczami, ową kuchnię obszerną, o kamiennej posadzce, w której spędzano długie wieczory zimowe, na słuchaniu bajek i opowiadań — albo ów pokój na górze, z wielkiemi wełnianemi firankami, w którym zasypiał sam jeden, czasami drżąc ze strachu, bo tuż obok był pokój niegdyś ojca jego, a księżyc, przedzierający się przez olbrzymie drzewa parkowe, kreślił dziwaczne na ścianach postacie, nieustający zaś głuchy szmer gałęzi stanowił niejako ilustrację do straszliwych opowieści, wypowiadanych półgłosem wieczorami przez starą Katarzynę.

Tam też, za czasów szkolnych, spędzał corocznie wakacje. Matka jego bowiem, zdobyła się na tyle heroicznej odwagi; że oddała syna do liceum w Grenobli, zkąd ukochany jedynak wracał do Saint-Laurent-du-Pont „zawsze wychudzony, jak mówiła, i zmizerowany.“

Poczytywała też sobie za obowiązek, aby z powrotem odstawiać go zmienionym do niepoznania, aby zawstydzić tych, na których stole zostawał w Grenobli. Rozumie się, że to, udawało się jej zawsze.

A jakież to miłe wspomnienia, owych pogodnych dni spędzonych w górach, owych wycieczek do Wielkiej Kartuzyi, owych rozkosznych odpoczynków pod drzewami wśród głębokiej ciszy, przerywanej jedynie szmerem źródła sączącego się ze skały; tam on, tylekroć razy całemi godzinami leżał na stoku góry, na trawie, czytając książki, albo przerywając lekturę, wpatrywał się rozmarzony w unoszące się po nad głową jego obłoki, ścigające się, goniące jedne za drugiemi i niknące wreszcie w błękitu przestworach niby kłęby dymu! Jakżeż przyjemne, jak rozkoszne bywały owe dni długie, upływające powoli, pełne rojeń młodzieńczych, podczas których mruczenie strumyka skaczącego po kamykach również łatwo usypiało jak monotonna śpiewka piastunki.

Sulpicjusz nie wiedział jeszcze wówczas gdzie się obróci, co pocznie ze sobą, jaki obierze zawód; ale był pełen nadziei, niczem nie zamąconej, czystej jak jasny błękit niebios, gotów do wszelkich poświęceń, a w sercu nosił skarby miłości i poezji... Badał nieraz sam siebie, czy zostanie misjonarzem, czy trybunem, zdawało mu się bowiem, że serce jego zdolne jest cały świat ogarnąć, jednocześnie przecież zadawał sobie niezmiernie ważne pytanie:

„Czy też mnie kto pokocha?
Być kochanym! Co za marzenie!“

Kiedy w kolegium poruszał tę kwestję, towarzysz jego szkolny, Guy de Lissac, syn szlachcica wiejskiego z sąsiedztwa, odpowiadał mu:

— Naiwnyś sobie! na tym świecie wszyscy się kochają i są kochani, niektórzy nawet zanadto!

Z patrjarchalnego takiego wychowania, może cokolwiek purytańskiego, ale łagodzonego jednocześnie pieszczotami matki, pozostał Sulpicjuszowi pewien nastrój poetyczny, który go już nigdy nie miał opuścić.

Nawet wśród zgiełkliwego życia w Paryżu, podczas kampanji politycznej, powracał myślą do domostwa porzuconego w Saint-Laurent-du-Pont, widział w niem próżny fotel swego ojca, którego uścisków nigdy nie zaznał, słyszał głos matki nawołującej go z po za dębowej poręczy wielkich schodów i jednocześnie wszystko sobie przywodził na pamięć: krajobrazy i ludzi, i stalowego koloru, nakrapiane perliczki, skrzeczące na gałęziach wiązów, i robotników wracających z winobrania, lub w obszernej kadzi wytłaczających wino, którego sam zapach odurzał. A ileż to razy Sulpicjusz, czy to jako deputowany, czy będąc już ministrem, unosił się na skrzydłach wyobraźni, do tego wiejskiego zakątka, co wydawał mu się tak miłym, cichym i spokojnym— do owego zakątka w głębokiej prowincji, tam, daleko od wrzawy, turkotu i ciżby paryzkiej!

W ogólności, dzierżawcy w Delfinacie, wy-

*) Stan trzeci, we Francji przed rokiem 1789, stanowili obywatele nie szlachta i nie księża. (Przyp. tłom.)

syłając synów swoich do szkół, a następnie pozwalając im niekiedy zaczerpnąć trochę wyższych wykładów czy to z prawa, czy z medycyny, nie myślą wcale o odrywaniu ich od wiejskich zajęć i z przyjemnością widzą powracających do pracy na ojczystym zagonie. W ten sposób wytwarza się z nich inteligentna, dzielna młodzież, dobrze zbudowana; chłopaki o szerokich piersiach, rozwiniętych przez codzienną gimnastykę, silni w nogach skutkiem ciągłych wycieczek w góry, doskonali myśliwi, ale więcej troszczący się o dobre zbiory, aniżeli o to, czem wiatr świszcze w nadbrzeżnych nad Izerą wierzbach.

Tą samą też myślą wiedziony, stary Vaudrey, stryj Sulpicjusza, zaproponował bratowej, że odda synowcowi cały swój majątek — pola, łąki i folwarki, jeżeli zechce zostać jego zięciem. Sulpicjusz odmówił. Nie chciał żenić się dla majątku.

— Głupstwo! — mówił stryj — romanse! W ten sposób synowiec mój niedaleko zajdzie!

— Pan brat myli się pod tym względem — odpowiada wdowa — na co przedwczesna śmierć nie pozwoliła biednemu mojemu Rajmundowi, tem syn jego zostanie: wymownym i uczciwym adwokatem!

— Dobrze, dobrze — konkludował stryj — ale córki mojej nie dostanie.

W istocie, Sulpicjusz ukończywszy studja w Paryżu, wrócił do Grenobli do swojej matki, którą zniewolił do opuszczenia starego domostwa w Saint Laurent, wpisał się na listę adwokatów miejscowych i pierwszemi zaraz obronami swemi ściągnął na siebie uwagę publiczną. Powszechnie dziwiono się, że nie osiadł stale w Paryżu.

I po cóż miał tam zostawać? Kochał swój Delfinat, kochał brzegi Izery, kochał ożywczą poezję *Pustyni* w Kartozji i śniegi Wielkiego Somu. Człowiek utalentowany, wszędzie znajdzie odpowiednie dla siebie miejsce, a przytem, było to dla niego pewnym punktem honoru, nie opuszczać rodzinnego swego zakątka i wygłaszać w nim szczytne zasady wolności. Z umysłem otwartym, chętnie przyswajającym sobie wszystkie objawy szlachetnych dążeń ludzkości, Sulpicjusz przejął od matki swojej i z pism i książek, pozostałych po ojcu, tworzących całą niemal Encyklopedję, a opatrzonych przez Rajmunda Vaudrey notatkami i uwagami na marginesach, tradycję i niejako chrzest wolności. Odczytując *Gazetę narodową* z przed osmdziesięciu lat, żył on owem życiem burzliwem, a gorące słowa takich mówców jak Mirabeau, Barnave i Condorcet, dziecię Grenobli, odnajdywane na tych stronnicach, jak nieostygła jeszcze lawa, parzyły mu palce i rozpłomieniały spojrzenie. Wówczas serce pierś mu rozpierało, a wielkie zasady wolności, wygłaszane z mównicy, rozpalały mu umysł. Jakby w sennem widzeniu, przesuwały mu się przed oczami imaginacji tłumy bijące oklaski, trójkolorowe kokardy, ozłocone promieniami jasnego słońca, procesje i defilujące orszaki, prawdy wygłaszane i oklaskiwane...

Matka uśmiechała się widząc entuzjazm syna. Nie próbowała wcale uspakajać go. Wiedziała dobrze, że sam wiek rozwieje większą część tych złudzeń, jak wiatry jesienne ogałacają drzewa, unosząc z nich listek po listku. A potem i ona sama podzielała też same nadzieje i marzenia przez pamięć dla męża, który podobnemi jak syn jego przejęty był zasadami.

Pogrom wojny i upadek cesarstwa, zastały Sulpicjusza Vaudrey popularnym w Grenobli, kochanym przez wszystkich, przez lud, który umiał ocenić jego szlachetność, przez mieszczaństwo, odgadujące w nim rozum stanu, w wyborach też lutowych otrzymał mandat do Bordeaux, do zgromadzenia narodowego. Liczył wówczas lat trzydzieści cztery.

Matka jego doczekała się jeszcze tej świetnej chwili, pierwszego kroku jego u wstępu przyszłości.

Dziś jeszcze, z niemałem wzruszeniem, Vaudrey przypominał sobie ową brzydką, słotną niedzielę lutową, kiedy w towarzystwie jednego ze swych przyjaciół powracał z wyborczej objażdżki. Jeszcze wczoraj, w sobotę, w karczemnej sali przemawiał do wieśniaków, słuchających go z otwartemi ustami, niedowierzających w pierwszej chwili nowemu kandydatowi i gotowych oglądać go i macać jak bydlę na jarmarku; powoli jednak przyklaskujących mu i oczekujących następnie na jego wyjście, aby uścisnąć dłoń jego w żylastych, spracowanych swych rękach i pożegnać go słowami: „Takiego potrzeba nam człowieka!“ Nazajutrz rano, powracał wśród deszczu do Grenobli, przebywając wioski, w których afisze z nazwiskami jego i jego przyjaciół kołysały się na ścianach, zmoczone i porozdzierane ulewą.

Przed drzwiami merostw spostrzegał maleńkie, spokojne gromadki, żandarma przechadzającego się wolnym krokiem, kartki wyborcze rozsypane w błocie. Ale i na tem koniec. Żadnego zapału. Żadnej silniejszej pulsacji w żyłach tych ludzi, od których głosu zawisł los kraju. Sulpicjusz nie mógł powstrzymać zdziwienia swego wobec podobnego spokoju, jakkolwiek tłómaczył sobie, że w całej Francji dzieje się toż samo, bez względu, że walka toczy się nietylko o jego nazwisko, ale o byt państwa.

A wieczorem, z jakimże dręczącym niepokojem obecnym był przy obliczaniu głosów, dokonywanem w gmachu sądowym, w którym aż czarno było od hałaśliwych napełniających go tłumów. Z gwałtownem biciem serca patrzał Sulpicjusz na wzrastającą po jego stronie cyfrę głosów; co chwila piesi posłańcy wiejscy znosili nowe protokóły wyborcze, machając niemi po nad głowami, a ze wszystkich piersi jeden głos się wydobywał:

— Vaudrey wybrany!

Krzyczano brawo, bito oklaski. Otaczano Sulpicjusza. Czuł się już jakby pochwyconym przez falę morską i unoszonym ku nowym, nieznanym światom.

Jeden z przyjaciół ujął go pod ramię i pociągnął w kąt sali, mówiąc z pośpiechem:

— Nie będę wielkich rzeczy od ciebie wymagać, a właściwie mówiąc, niczego nie będę żądał. Poprzestanę na jakim skromnym dochodziku. Prawda, że to się da z łatwością przeprowadzić?

A Sulpicjusz, wzruszony jeszcze tym wielkim chrztem ludowym, jaki spadł na niego, uczuł gniew do człowieka, który w tryumfie sprawy widział tylko środek do osiągnięcia swoich celów, do uzyskania jakiejś posady. Dla nowego deputowanego — gdyż wybór Vaudreya nie ulegał już wątpliwości wobec ciągle przybywających list wyborczych z jego nazwiskiem — było to niejako pierwszem rozczarowaniem.

Owego wieczoru, tłumy narodu odprowadziły go z tryumfem aż do mieszkania.

Wśród niezmiernej radości dręczyła go jednakże myśl o obowiązku, jaki miał spełnić: podpisać pokój zawarty z Prusakami! I jemu to, niestety, wypadło położyć swoje nazwisko na akcie, uprawniającym oderwanie od ojczyzny dwóch prowincyj? Większą część nocy spędził na rozmyślaniu o tem, z głową opartą na zimnej szybie swojego okienka.

Położył się późno i nie mogąc zasnąć, wstał z pierwszym brzaskiem lutowego poranku.

Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, rozciągał się ogród klasztorny ze swemi ogołoconemi z liści drzewami, systematycznie podzielony na kwatery, obsadzone bukszpanami. Tyle razy już spoglądał na ten obraz. Zakonnice w czarnych sukniach przechadzały się zwolna na tle tego spokojnego i zimnego horyzontu, który przez długie lata był i jego horyzontem. Odtąd nie będzie już patrzeć na ten znajomy kącik, na ten ogród, smutny ale powabny swoją klasztorną poezją.

Teraz czeka tam na niego Paryż, rozgorączkowany, kipiący gniewem, z zapalną swą atmosferą. Bruk tam nawet musi płonąć pod nogami. Sulpicjuszowi pilno już było ujrzeć się tam, pokazać się z podniesioną głową owym poddaszom, w których marzył będąc jeszcze młodym studentem. Ale nie raz zatęsknił za swoim ogrodem, klasztorem, za tą zielonością, do której przywykł, nieraz żal mu było owej ciszy głębokiej, otaczającej go, gdy pracował przy otwartem oknie, przerywanej jedynie lotem ptaka, wachlującego go swem skrzydłem, lub stłumionemi głosami śpiewających zakonnic, jak echo modlitwy dochodzącemi do jego okna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TEATR.

Z repertoaru dwóch ostatnich tygodni mamy znowu kilka nowości scenicznych do zanotowania. Idąc porządkiem chronologicznym, musimy tu przedewszystkiem uczynić wzmiankę o najnowszej jednoaktowej komedyjce Jana Al. hr. Fredry *Głodem wzięty*, a c zynimy to wyłącznie gwoli ścisłości kronikarskiej, gdyż na obszerniejszą recenzję nie zasługuje ta ze wszech miar bardzo słaba sztuczka. Już to trzy ostatnie publiczności znane utwory tego autora, jako to: Kalosze, Dwa domina, a wreszcie Głodem wzięty wskazują dosadnie, że talent jego minął już bezpowrotnie swój zenit, i że dlatego wartoby dziś już być mniej pochopnym w wystawianiu sztuk, które rumienią się wobec *Posażnej jedynaczki*. U nas zbyt często zapomina się o tem, że wzrastające powodzenie wymaga czem raz surowszego autokrytycyzmu, i dlatego coraz częściej spotykamy się z faktem, że autor, który zabłysnął pierwszą swą pracą, zawodzi pokładane w nim oczekiwania i zamiast wznosić się coraz wyżej, spada bardzo rychło do poziomu miernostek. Równocześnie z powyższą komedyjką oryginalną przedstawiono jednoaktówkę Dreifussa *Ofiara* w tłómaczeniu A. Kleczewskiego, rzecz tak drobnej miary, że może nie warta była przekładu.

Inna nowość, 3 aktowa komedja Mozera „Der Veilchenfresser“, czyli jak się tłómaczom podobało ją nazwać *Kawaler z fiołkami*, urodziła się w „krainie miliardów“, gdzie bożyszczem

dziś pikelhauba, a rzeczą największej uwagi godną — koszary. Nie dziw zatem, że bohaterami tej komedji są rozmaite szarże piechoty i kawalerji, tyle też w niej nowego, że typy, dobrze już zkądinąd znane, ubrano w mundur zamiast pospolitego tużurka. Jakiejkolwiek tendencji lub głębszej myśli, daremnieby tam szukać, całą więc zaletą sztuki zgrabne prowadzenie, zdradzające rutynowaną rękę. Sztuka ta w Niemczech wielkie ma powodzenie, u nas, nieprzywykłych jeszcze upatrywać wszelkich doskonałości wyłącznie pod mundurem, na podobny sukces wcale liczyć nie może i kto wie, czyby nawet zaraz przy pierwszem przedstawieniu nie była upadła, gdyby nie komiczna scena musztry jednorocznych ochotników, pochwycona z życia i z wielkim humorem wpleciona w całość. Atoli już ten sam jeden szczegół, że całość zawdzięcza swe powodzenie jednemu tylko, bardzo nawet luźnie złączonemu z nią epizodowi, wskazuje, że tylko zgrabny układ a nie rzecz sama, podtrzymują tę sztukę, że jest to zatem *ein Machwerk*, który jakiś czas będzie jeszcze bawił publiczność *komiśnymi* dowcipami, ale trwalej miejsca nie zagrzeje na naszej scenie. Komedja ta, kilkakrotnie przedstawiona, była za każdym razem bardzo dobrze odegrana i zawsze osiągała swój chwilowy sukces.

Całkiem inaczej przedstawia się *Świat nudów* E. Paillerona, 3 aktowa komedja, tłómaczona przez Masłowskiego. Nie chcemy przez to bynajmniej powiedzieć, jakobyśmy się tym utworem bardzo zachwycali, przeciwnie, po Pailleronie spodziewaliśmy się czegoś więcej. Mimo świetnych błysków, ma ta sztuka swoje znaczne nawet niedostatki. Pailleron wynoszony pod niebiosa i słusznie dla dialogu, prowadzonego zawsze z niepospolitym artyzmem, tym razem przesadził w tym kierunku, i popadł w gadatliwość, naszpikowaną gdzie niegdzie wcale niesmacznymi enuncjacjami. Ta wybujałość djalogu, tłumi nadto akcją i bez tego nie bardzo świetną, a to ze względu na leniwą ekspozycją, i słabą budowę aktu trzeciego, opartą na zużytych środkach podsłuchiwania, podsłuchiwania powtarzającego się trzy razy w jednym i tym samym akcie. Tendencja sztuki zresztą bardzo na czasie, smaganie sfer arystokratycznych, które, zakuwszy całe swe życie w okowy sztywnej etykiety i pozoru, wmawiają w siebie, że żyją, działają, bawią się... a w rzeczy samej są plagą dla siebie i dla drugich. Przy tej sposobności dostało się też przesadnemu sawantyzmowi kobiet i wielkościom buduarowym, rosnącym na fartuszkowych protekcjach. Tym fałszywym kierunkom przeciwstawia autor pewien szlachetny epikureizm w życiu i tę szczerość uczucia, która przy osądzaniu ludzi i ich czynności każe przedewszystkiem „mieć serce i patrzeć w serce.“

Prawdziwą ozdobą tej sztuki są postacie księżnej de Reville (p. Aszperger) i Zuzanny de Villiers (p. Kwiecińska) rysowane genialnie, a przez obiedwie wyżej nazwane panie doskonale odegrane. Ogromne pole do studjów psychicznych i do popisu nastręcza także postać hrabiego Roger, mająca uosabiać zwycięstwo szlachetnych wrodzonych popędów nad spaczonem wychowaniem karjerowicza, ale niestety p. Bystrzyński albo nie pojął tej roli, albo nie ma sił do jej oddania, bo ją odegrał tak niedołężnie, że zatracił całkowicie jej rysy. Zresztą ucierpiała ta sztuka bardzo wiele, także dlatego, że drugorzędnym siłom naszego personalu żeńskiego brak poprostu odpowiedniej inteligencji a nawet odnośnej intuicji do przedstawienia dam ze sfer wyższych, to też wszystkie hrabiny, margrabiny i baronowe były w ensemblach zanadto komiczne, a wyrafinowany dialog przechodził w ich ustach w bezmyślną nieraz paplaninę. Wśród mnóstwa osób zajętych w tej sztuce odszczególnili się korzystnie prócz wyżej nazwanych jeszcze tylko panie: Woleńska i Cichocka, a z panów: Woleński, Podwyszyński i Lubicz. Do tłumacza, który w całości doskonale wywiązał się ze swego zadania, mamy tylko tę pretensją, że w usta księżnej de Reville, jakkolwiek jest to osoba mówiąca to co myśli i nie szczędząca soli atyckiej, wkłada nieraz zbyt trywialne wyrazy i zwroty; reżyserji zaś uczynilibyśmy uwagę, że niektóre dialogi dałyby się bez szkody dla sztuki skrócić, a zbyt drastyczne ustępy, zwłaszcza owe, podające definicją miłości, w porozumieniu z tłómaczem uwydatnić mniej przejrzyście, gdyż w dotychczasowem swojem brzmieniu nie znajdą one poklasku u naszej publiczności, przeciwnie mogą ją zrazić do sztuki, która zkąd innąd jakkolwiek nie arcydzieło, ma prawo do bytu na naszej scenie.

R. St.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Bliziński Józef.* Komedje: Przezorna mama. — Pan Damazy. — Mąż od biedy. — Chleb ludzi bodzie. — Marcowy kawaler. — Rozbitki. 8-ka, str. 206. Lwów 1881, 2 zł. 40 ct.

— *Bliziński Józef.* Rozbitki, komedja w czterech aktach. 8-ka, str. 65. Lwów, 80 ct.

— *Czubski Jan.* Spiewnik polski, dla ochronek szkół ludowych i wydziałowych. Część II, dla klasy II. i III. 8-ka, str. 89. Lwów 1881, 60 ct.

— *Finkelhaus Jan.* Obrazki z życia północno wschodniej Afryki. 8-ka, str. 311. Warszawa 1881, 1 zł. 50 ct.

— *Finkelhaus Jan.* Z podróży po Norwegii. (Bibl. Mrówki, tom 128.) 16-ka, str. 96. Lwów, 20 ct.

— *Gorazdowski* Katechizm św. Kościoła katolickiego, zastosowany do potrzeb trzech pierwszych klas szkół ludowych, według Deharbea. 8-ka, str. 112. Lwów 1881, 18 ct.

— *Kalinka Walerjan X.* Sejm czteroletni. Wydanie drugie, 2 tomy. 8 ka, str. 378, 255. Kraków, 6 zł.

— *Kalinka.* Znaczenie Świętych w historji. 8-ka, str. 23. Lwów 1881, 30 ct.

— *Kopeć Józef.* Dziennik podróży po Syberji. (Biblioteka Mrówki, tomik 121, 122.) 16 ka, str. 160. Lwów 1881, 40 ct.

— *Kubala L. Dr.* Szkice historyczne. Serja druga. Wydanie drugie. 8-ka, str. 323. Lwów 1881, 3 zł. 40 ct.

— *Pasek Jan Chryzostom.* Pamiętniki. (Biblioteka Mrówki, tomik 123. — 127.) 16-ka, str. 576. Lwów 1881, 1 zł.

— *Pawłowicz Edw.* Obraz Swieczniki Nerona Henryka Siemiradzkiego. 8-ka, str. 21. Kraków 1881.

— *Röhring Arnold.* Sadownictwo z 54. figurami w tekscie i tablicą litografowaną. 60 ct.

— *Rudnicka Z.* Obrazki z życia i prawdy: Marysia Stecka.—Nie zawsze trzeba wierzyć. — Nina. — Branka tatarska. 8-ka, str. 235. Lwów 1881 1 zł. 50 ct.

— *Wechslerowa Stefanja.* Wypisy francuskie na kl. piątą i szóstą szkół wydziałowych. 8-ka, str. 163. Lwów 1881, w oprawie 80 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** „O znaczeniu encyklopedji i metodologji nauk prawnych“, dwie prelekcje wstępne do wykładów tej nauki, miane w r. 1880 w Uniwersytecie lwowskim, przez prof. dra. Gust. Roszkowskiego, wyszły z druku w oddzielnej odbitce.

*** Wkrótce opuści prasę dramat Juljusza Turczyńskiego, w pięciu aktach, uwieńczony przed paru laty nagrodą, który stawszy się własnością sceny krakowskiej, nie mógł być dotychczas wystawionym z powodu dekoracyj, wymagających zbyt wielkiego nakładu. Dramat ten p. n. „Mojmir“ przedstawia czasy rozpaczliwej walki słowiańszczyzny nadelbiańskiej z potężnym wówczas germanizmem, pragnącym pochłonąć wszystkie ludy nad Elbą, Odrą i Wartą.

*** Z Petersburga donoszą, że p. Feliks Wesołowski, obywatel z Wołynia otrzymał koncesję na teatr polski nad Newą. Podług brzmienia koncesji, repertoar nowego teatru ma być w zupełności zastosowany do repertoaru warszawskich teatrów rządowych.

*** W tych dniach wyszła w Krakowie ciekawa broszura p. t. „Dziennikarstwo warszawskie“, o której w krótkim czasie postaramy się dać sprawozdanie.

*** „Mentor“, trzyaktowa komedja Al. Fredry syna, przełożona na język niemiecki przez Wilhelma Langego, doznała świetnego powodzenia w Hamburgu.

*** W Berlinie ukazało się dzieło p. t. „Bismarck-Anthologie“, zestawione przez F. Sailera z mów, listów i pism urzędowych księcia kanclerza.

*** Wkrótce ma się ukazać w Paryżu nowy dziennik, którego redaktorem naczelnym będzie Mazzini, dyektor gazety wiedeńskiej, *Danube*.

Dziennik ma nosić tytuł *Nouvelle* i będzie illustrowany.

Z łamów jego wykluczono zupełnie politykę.

*** Przed kilku miesiącami podczas restauracji domu wiejskiego na Wołyniu znaleziono cenny karton, przedstawiający oddanie kluczy św. Piotrowi.

Dr. Talko, będący obecnie w posiadaniu kartonu rzeczonego, przywiózł go do Warszawy i okazał znawcom.

Sądząc po rysunku i cechach paleograficznych, karton wyszedł z pod ręki Rafaela.

Znawcy, zachwycając się tem dziełem sztuki, przyznają mu nader wysoką wartość.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.